

Janusz Głowacki

Jak być kochanym

Rocznik Mińsko-Mazowiecki 23, 245-247

2015

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JANUSZ G Ł O W A C K I

Jak być kochanym¹

Nasz kraj jest krajem poetyckim, stąd Jan Himilbach, jeśli nie musiał, to w każdym razie powinien pojawić się właśnie tutaj i zrobić karierę w filmie. Wymieniony artysta uważa to nie bez pewnej słuszności za sprawę cokolwiek wstydliwą. Ale ponieważ wszystko nadal odbywa się według zasady poetyckiej, nie musi wstydzić się aż tak bardzo.

Parę lat temu Daniel Olbrychski przygwałdził Gustawa Holoubka (w jednej z owych uroczych intelektualnych szermierek słownych, dzięki którym czytanie gazet i dzienników stało się u nas źródłem estetycznej satysfakcji) twierdzeniem, że o sukcesie filmowego artysty decyduje Świadomy Kunszt Aktorski. Holoubek bronił się nieporadnie, ale w tymże roku w plebiscycie „Ekranu” krytycy uznali za najlepszego aktora filmowego roku – obok w pełni świadomego Daniela Olbrychskiego – Jana Himilbacha, który najlepsze swoje sceny w filmie *Rejs* grał w stanie ze wszech miar niepełnej świadomości.

Być może u źródeł narodzin aktorstwa Jana Himilbacha leżało nade wszystko to, iż byliśmy do granic wytrzymałości zanudzeni doskonałością i kunsztem Polskiej Szkoły Aktorskiej z jej Warsztatem Bez Granic.

Ja ci, stary, zagram nawet krzesło – obiecuje pewien znakomity artysta i, co gorsza, można mu zaufać.

Tymczasem Jan Himilbach to jest w ogóle coś innego. Człowiek ten i pisarz prowadzi życie, mówiąc łagodnie, mało konwencjonalne. Skoro zaś zdecydował się żyć tak, jak żyje, to naprawdę może grać i pisać tak, jak mu się podoba, ponieważ i swoją grę, i nas, którzy ją oglądamy, ma po prostu – jak celnie zauważył H. Bereza – w dupie.

Wspomniałem, że artysta ów prowadzi życie nietypowe, co więcej, wszystko wskazuje na to, że jest z tego życia zadowolony. Chociaż czytelnikowi jego opowiadań czy widzowi w kinie może się ono wydawać niekoniecznie najatrakcyjniejsze. Należy więc Himilbach do ludzi zadowolonych ze swojego życia, a zatem i z życia w ogóle. Wszystko u niego gra, wszystko jest w porządku, idzie swoim naturalnym rytmem; narodziny i śmierć, kalectwo i delirium, nazywane pieścizotliwie, po koleżeńsku, delirką – wszystko to jest na co dzień, jest jakies bliskie, ciepłe, właściwie trudno się bez tego obejść. Wszystko jest „ganz” i „chlupes tenteges”.

Na ogół chętniej identyfikujemy się z bohaterami prozy Hemingwaya albo w drugą stronę – Saula Bellowa niż Himilbacha; jeśli mamy kłopoty, to wolimy utożsamiać się

¹ Przedruk: J. Głowacki, *Jak być kochanym*, „Film”, nr 3 (1974), s. 12-15.

z frustracjami Marlona Brando, z którym o tyle przyjemniej jest falować w chaosie kulturowym i wspólnie nie rozumieć i nie być rozumianym. Albo więc smutek wśród tweedów, albo bunt w wystrzępionych lewisach i „wieszanie ogrodniczek” – kto nie wie, co to znaczy, jest w zgodzie z kodeksem karnym i nie powinien się martwić. Identyfikowanie się z Himilbachem – to się musi mniej podobać. Moda w swoją stronę, Himilbach w swoją. Wyzwała on trochę inne uczucia. Wśród wszystkich „przekreślonych” zdarzają się tacy ludzie – wywołuje zdumienie i radość, że jest mu tak źle, a tak mu z tym dobrze. Ukazuje takie perspektywy, że wydatnie poprawia samopoczucie. Powinien więc dostać nagrodę jakiegoś ministerstwa, ponieważ akceptuje wszystko i jest to z całą pewnością działaniem ku pokrzepieniu serc. Jest więc Jan Himilbach Sienkiewiczem, będąc równocześnie Chaplinem, przy czym zestawienie to tylko pozornie wydaje się zaskakujące.

Nie można powiedzieć, aby Himilbach unikał wielkiego świata i nie miał swojego wystawnego życia, dlatego udaje się niekiedy z aparatem Zorka 5 i żoną do Hali Mirowskiej, aby przyjrzeć się japońskiej rewii. Potem wsiada ze Zdzisławem Maklakiewiczem w samolot i lecą do Koszalina albo i jeszcze dalej. Słowem, on nas rozczula, ale mu nie zazdrościmy, i za to go kochamy. Jednak nasza przewaga jest dość ułudna, ponieważ my naprawdę tęsknimy za życiem innym, najczęściej bez konkretnych rezultatów, a Janek ma na ogół wszystko, co chce.

Tak więc artysta filmowy Himilbach budzi poważną ilość najrozmaitszych uczuć: uspokaja, wywołuje współczucie, solidarność, wyzwala poczucie bezpieczeństwa – tyle że to wszystko nie jest takie proste, bo ma on świadomość, powiedzmy, socjologicznej funkcji, jaką spełnia na ekranie, a przez to staje się ona cokolwiek dwuznaczna. Albowiem przesadna afirmacja łagodnie ewoluuje w kierunku swojego zaprzeczenia – nie tak nie skłania do zamyślenia się nad pewnymi zdaniem, z którymi spotykamy się na co dzień i do których przywykliśmy na co dzień, jak wygłoszenie ich z zachwytem i wiarą przez Himilbacha.

Przychodzi mu to łatwo, gdyż ma poczucie poetyckości spraw, wśród których się porusza. Stąd nie wydaje mu się wcale dziwne, że wygłoszone przez niego zdanie: „Piękna jest nasza ziemia z lotu ptaka”, wzbudzi u najwłaściwszych osób szereg wzruszających wątpliwości, czy nie oznacza to czasem, że nie z lotu ptaka ziemia nasza przestaje być piękna.

Himilbach napisał książkę, a sam został zapisany na ekranie. Jest to bardzo pełny, choć może cokolwiek przygnębiający portret zadowolonego z życia człowieka w latach siedemdziesiątych. Słowem, jest ów artysta jakby dzieckiem nieco wstydliwym, które, kiedy przychodzi ktoś z wizytą, mama raczej ukrywa, ale goście koniecznie chcą je zobaczyć i strasznie się nim cieszą. Dziecko natomiast ma dokładnie wyrobione zdanie i na temat mamy, i na temat gości.

Z tym, żeby Himilbach został bohaterem *Dzisiejszych czasów* i Chaplinem Europy Wschodniej, są też pewne kłopoty. Dość dokładnie wiemy, czego Chaplin nie lubił, możemy też na ogół identyfikować się z pragnieniami bohatera Gorączki złota, natomiast o tym, za czym tęsknił Janek Himilbach, boję się myśleć.

Jest jednakże na artystę tego pewna pułapka. Do tej pory Himilbach ma nas w ręku, ale jego słabym punktem jest – parę osób może się zdziwi – cechująca prawdziwych artystów niejaka mimozowatość. Lubi bowiem, a niby kto nie lubi, aby powtarzano możliwie często, że jest wielki. I gdyby tak wysłać go na festiwal, tylko na miłość boską nie do Łagowa – który wraz ze swymi referentami, przemówieniami, jurorami i obchodami jest częścią poetyckiego pejzażu i Himilbach czułby się tu jak w raju – ale do Cannes czy Hollywood, aby we fraku i sztywnym gorsie odbierał Oscara, który mu się należy i którego w końcu może dostanie. Może wtedy spoglądając na nas ironicznie i z niekłamana wyższością z okładek „Life’u”, „Paris Matchu” i „Playboya”, wzbudzi zawiść Stanisława Mikulskiego i Beaty Tyszkiewicz, a i my wszyscy, zachwycając się nim, będziemy go nareszcie mogli znieawdzić.